

Witamy po przerwie pełnej chaotycznych zdarzeń, które nie sprzyjają materializacji, choć służą rozwojowi, głównie się. Musieliśmy też po ostatniej LaBestii poszukać środków na kolejną edycję pisma (w tym miejscu apelujemy o wpłaty i/lub na rezygnację z narzekań, że pismo nie wychodzi, wybór należy do was), za pomoc w tym względzie dzięki (za kasę na druk i teksty): Beff 60,- stanek 15,- kufaszk 30,- Pomierz 20,- zysk 4,- Badył 10,- PiuO 85,-

LaBestia

N^o 14 Gdańsk wiosna '99

Nasz adres: LaBestia (Paweł Rzóska), P.O.Box 118, 80-470 Gdańsk 45
<http://www.most.org.pl/art/LaBestia>

e-mail: jwal@pg.gda.pl



BÓL



motto:
**Odnajdź swój ból,
 zanurz się w nim,
 z niego będziesz czerpał siłę!**

*Konan
 Barbarzyńca*



Pamiętacie swoją ostatnią wizytę u dentysty? Przypomnijcie sobie ten ból! Braliście znieczulenie, i co?, bolało jeszcze bardziej. Ból to jedna z tych rzeczy, którą wszyscy znają, ale nie za bardzo potrafią coś o tym powiedzieć. Może dlatego, że wydaje im się, że samo mówienie o bólu sprowadzi go ponownie i instynktownie go unikają, wypierają się.

Spróbujcie się jednak kiedyś zanurzyć w bólu, nie próbując go unikać, powstrzymywać jak najdalej od siebie. W każdym z nas jest, przecież, coś z masochisty. W momencie, kiedy zredukujecie się do samego bólu, kiedy będziecie samym bólem, kiedy stawicie mu czoła, wtedy będziecie mogli powiedzieć, że żyjecie, że jesteście ludźmi.

Naprawdę tak myślę. To banalne, ale człowiek jest, dla mnie, istotą paradoksu. Codziennie musimy wybierać między rzeczami dla nas równie ważnymi, lecz sprzecznymi, między różnymi skłonnościami. Skłonnością do przyjemności, jak i skłonnością do bólu. Redukując tą drugą redukujemy część swojego ja, swojego człowieczeństwa (czy jak *To* tam nazwać). Ból i przyjemność uzależniają w jednakowym stopniu. Człowiek żyjący swoim bólem nie może żyć bez niego na równi z tymi co nie potrafią funkcjonować bez przyjemności.

Oczywiście mieszają się nam tu dwa pojęcia bólu fizycznego i cierpienia psychicznego. Ból fizyczny, jest likwidowany przez tzw. opiatowe mechanizmy obronne organizmu. Z kolei endomorfiny będą redukowały nasze lęki. Z wiekiem zdolności poszczególnych organów do produkowania rozmaitych substancji przeciwbólowych zostaje redukowana, stajemy się bardziej podatni na ból. Rak atakując jakiś organ, niszczy jego zdolności do uśmierzenia bólu. Organizmy ludzi rannych, jak i sportowców dzięki katecholaminom nie odczuwają bólu wynikającego z odmiennego trybu funkcjonowania. Co tu jest już przyjemnością, a co jeszcze bólem? Sportowiec pozbawiony wysiłku fizycznego posiada objawy głodu narkotycznego, a trening, mimo zmęczenia i bólu, wywołuje poczucie satysfakcji, czasami wręcz euforii.

Cierpienie psychiczne też można zwalczać gimnastyką, ale ile trzeba by zrobić fikokków by poczuć się dobrze po stracie dziecka, żony, kochanka. Czy nie lepiej właśnie pogodzić się z nim, czerpać z niego siłę, by iść dalej, oczywiście jeśli jeszcze tego chcecie? Czasem, po prostu zabijają, a czasem nie. Ból da wam wtedy siłę do trwania w nim, do opatowania siebie i innych swoim nieszczęściem. Czy naprawdę będziecie się czuli lepiej, kiedy inni będą wam współczuć? — Koszmar. Upokorzenie.

Patrzcie jak radzi sobie z bólem Poul Verlaine, rozdarty między żoną a kochankiem, prozą życia a poezją. W końcu traci jedno i drugie pozostając sam ze swoim bólem. Jest to prawdziwe okiełznanie cierpienia, zaprzęgnięcie go do działania, jeżeli nie możemy sprawić, żeby nie bolało, przynajmniej oszukujmy się czyniąc to użyteczniejszym (choć jak to ma wtedy znaczenie?). Skażeni smutkiem wyrażają swój ból jak potrafią. Jedni płaczą, inni piszą, i to jak, choć cierpią tak samo.

Czytajcie na głos, jeśli potraficie, ten sonet. Proście kochanków, może matki lub sąsiadki by go wam czytały. Zanurcie się w dźwięku słowa, jego wibracji, wrażeń jakiego wywołuje. Widzicie te wypracowane niebale krajobrazy.

Le son du cor s'afflige vers les bois
 D'une douleur on veut croire orpheline
 Qui vient mourir au bas de la coline
 Parmi la brise errant en courts abois.
 Lâme du loup pleure dans cette voix
 Qui monte avec le soleil qui décline
 D'une agonie on veut croire câline
 Et qui ravit et qui navre à la fois.
 Pour faire mieux cette plainte assoupie,
 La neige tombe à longs traits de charpie
 A travers le couchant sanguinolent,
 Et l'air à l'air d'être un soupir d'automne,
 Tant il fait doux par ce soir monotone
 Où se dorlote un paysage lent.*

Wspaniały ból, jakże cudowny!
 Można powiedzieć, że ludzie szczęśliwi, skoro już są szczęśliwi, nic nie robią. To pustka wymusza na nas działanie, życie nie znosi próżni, musimy ją czymś zapełnić. Nie mogąc zniszczyć cierpienia, nie zabijając siebie, musimy go zaakceptować, wykorzystać. Nie trzeba wyć z bólu, może to zrobić przecież nasz wilk.

Spotkałem ostatnio na imprezie pewnego chama. Darł się, kłął, bekał i pierdział, chciał się bić z kim popadło, normalka. Zawsze się znajdzie ktoś taki, kogo boli aż tak bardzo. Popisywał się tańcząc szalenie, ale w pewnym momencie zatracił się w rytmie, w muzyce. To był prawdziwy trans, choć przez moment był szczęśliwy, pozbawiony wulgarności, a inni przynajmniej przez chwile nie pragnęli jego śmierci.

Trzeba tańczyć dla siebie, dla swego bólu, aż go się znajdzie, aż do popadnięcia w trans, szaleństwo. W tańcu można wyrzucić z siebie wszystko, osiągnąć ekstatyczną wizję boskości, być pulsacją, pulsem wszechświata. Ból i szczęście będą jednością, obojętnością. Kiedy cierpię, olej sąsiadów i rodzinę, włącz głośno muzykę, zrzuć buty, i zrób jeszcze głośniejsze, i tańcz, tańcz bez wytchnienia, bez myśli, bez bólu... W ten sposób na pewno przeżyjesz, co najwyżej będziesz dla innych trochę dziwny.

S. Ebrio

*Dźwięk rogu smuci się koło lasów
 z bólem można sądzić sierocym
 który przybywa umierać u stóp wzgórza
 wśród wiatru wędrującego krótkimi podmuchami.
 Dusza wilka płacze w tym głosie
 który się wzniósł w górę ze słonecznym rozkładem
 z agonią można sądzić pieścizłowiłą
 i która zachwyca i która rani na raz.
 By wzmocić tę skargę senna,
 śnieg pada długimi pasmami szarpili
 przez zachód krwawy,
 i powietrze przypomniało sobie westchnienie iestem
 tak łagodny jest ten monofonny wieczór
 kiedy się straci krajobraz niebłoty

BIBLIOTEKA ANARCHISTYCZNA
 ul. Pułaskiego
 21a
 PO BOX 5,
 60-966
 Poznań 31
 (tłum. S.E.)

A-556/14

Chciałem ich kupić kilka sztuk, a dostałem znacznie więcej, i to całkiem za darmo. Ale po kolei. Żeby kupić, trzeba najpierw wymienić pieniądze. Nie jest to nic dziwnego, biorąc pod uwagę, że to inny kraj i inna waluta. Pieniądże można wymienić w *birou de schimb*. Tych *birou*, czyli kantorów, nie ma za wiele. Nie są to zbyt uczęszczane miejsca. Na wydanie reszty w obcej walucie lepiej nie liczyć. Wiele się zmieniło od czasów, w których Bukowina leżała na przecięciu handlowych szlaków Euroazji i C.K. Atlantydy, mimo, że od tego momentu kontynenty rozsunęły się tylko o centymetry. Po wyjściu z kantoru, na posiadacza lokalnych środków płatniczych nie czeka tu zbyt wiele pokus. Odniosłem wrażenie, że o większość z nich otarłem się podczas zaledwie półgodzinnego spaceru. Niektórym nawet uległem. Na *piata*, czyli rynku, błyskawicznie przylgnąłem do straganów pełnych żywności słonecznie modyfi-

lowanej. Ceny, jak dla obywatela kraju przedakcesyjnego, bardzo przystępne. Po śniado-rumianach i tryskających energią twarzach sprzedawców widać wyraźnie, że żywność słonecznie modyfikowana jest tutaj w powszechnym użytku. Chłopy z łapami jak korzenie pastewnych buraków, baby o polikach puciołowatych i roześmianych jak pomarańczowe dynie. Wszystko to zadaszone krępkim urokiem filcowych kapelusików i czarnych lub kwiecistych chust. Tylko czekać, kiedy spod stosów winogron i worków odłupinowanych włoskich orzechów tubylcy wyciągną skrzypeczki, cymbały, trembitę, i zagrają czardasza, krzesanego, arkaną albo inną kołomyjkę konkurencyjną dla "ody do młodości" - hymnu Unifikacji Europejskiej.

Po wymienieniu symbolicznej kwoty na worek o b -

łupanych, włoskich móżgorzeczków i kilka pęczków marchwi, w poszukiwaniu pocztówek spłynąłem z *piata* na miasto. A tam urbanistyczny duch Ceausescu mieszał się z drewnianymi arcydziełami pamiętającymi jeszcze zapewne C.K. Atlantyde. Na widok bukowińskich blokowisk pierwszy raz poczułem coś jakby cień symptii do niesławnej postaci "Słońca Karpat" - towarzysza Nicolae. A może raczej do tamtej epoki w wykonaniu lokalnych scenografów miejskiej przestrzeni? Do architektów, którzy rzeźbiąc w gównie betonu potrafilo mimo duszącego smrodu ulepić coś, co nie skurwiło krajobrazu tak, jak u nas byle sanatorium "Hutnik" w Beskidach albo budynek GS-u na Podlasiu. Styl tych budowli, nominalny soc-realizm, na ulicach Suczawy przyjął dla mnie postać godniejszą określenia syf-soc-techno-etno. Z tym, że ten pierwszy człon, mocno współodpowiedzialny za płynne wtopienie budynków w lokalny koloryt, na pewno mniej wynika z zasługi twórców, a więcej z wysługi lat. Co do określenia użytego powyżej, mam jeszcze jedną wątpliwość. Mianowicie nie wiem, czy właściwe jest tu słowo "techno". W odróżnieniu od dzisiejszej, wszechobecnej techno-neonowej pizdy z wyskubanymi brwiami w kolorze-potworze, w tamtych czasach panowała większa sta-

ranność. Chociaż np. samplowanie wzorków stanowi o pewnym podobieństwie, to jednak mozaiki na chodnikach Suczawy, mimo że na trotuarze, nie upadły tak nisko jak obecne techno-piżdzisko. I jeszcze jedno. Beton to nie silikon. A lastriko nie plastik(o).

W poszukiwaniu pocztówek godnych wysłania krajanom zabrnąłem na peryferia. Miasto skończyło się nagle, płynnie przechodząc w pofalowane, trawiaste - lesiste wzgórza. Takie przedkarpackie zmarszczki, zapowiadające pobliskie, górskie stromizny. Nie skończyły się orzechy ani marchew, słońce dopiero dobiegało południa, tak więc był to idealny moment na wzięcie udziału w małym "Dacia - Trophy". Cel podstawowy: opuścić miasto i wjechać w paszczę gór, cel geograficzny: miejscowość *Cirlibaba* i przełęcz (*pasul*) *Prislop*. No i cel główny - zdobyć pocztówki. Pocztówki jak malowanie.

Na wylotówce nie mam konkurencji. Pięć minut machania i jadę. Pierwsza ustrzelona dacia kolorystycznie nie odbiega od standardów. Jest biała. Podobnie jak dziewięć następnych, które zatrzymam w niedalekiej przyszłości, z których to siedem powiezie mnie w przewidywanym kierunku, jedna do szpitala, a jedna nie ruszy w ogóle. Tymczasem wnikiem do kabiny. Po krótkiej wymianie uprzejmości poznaję cel etapowy: miasteczko *Gura Homorului* - trzydziście kilometrów bliżej wyżsionego, skalistego grzebienia Alp Rodniańskich. Robi się znakomicie. Wjeżdżamy w tak piękne pagóry, że nie próbuję sobie wyobrazić, jakie będą góry. Nie integruję się zbyt, odczuwając żenującą nieadekwatność moich spostrzeżeń wobec świata tych ludzi. Co ich obchodzi, że jakiś *Poloneze* zachwyca się górami, których oni natrzymali się do porzygania, jeżdżąc bez przerwy po serpentynach, dwadzieścia na godzinę i dwadzieścia na stówę. Albo co ich obchodzi, że *Poloneze* jest do głębi poruszony widokiem drewnianych miasteczek, kiedy one są tutaj tak oczywiste, jak wino i bryndza na kuchennym stole. Krajobraz za szybą auto(de)mobilu robi się coraz bardziej porzeźbiony. Grzbiety górskie są coraz wyższe, budowle ociekają ornamentami. Ciesła - snyder - to tutaj zawód chyba tak popularny, jak u nas za Gierka zbrojarz - betoniarz. Zresztą mniejsza o popularność. To, co daje najbardziej po oczach i mózgu, to bogactwo pomysłów, wzorów, typów ornamentów, kolorów malowideł. Rzeźbione i malowane jest wszystko - ściany, dachy, belki konstrukcyjne i krokwie, płoty, krzyże, okiennice, drogowskazy... Przede wszystkim jednak bramy. Są one w dość podobnym stylu, z głęboko ponacinanymi słupami, połączonymi poprzeczkami obłożonymi luskowatym gontem. Przypominają nieco japońskie "bramo-kaplice" shinto, z podwiniętymi okapami pełnymi drewnienek zaplecionych "na jaskółczy ogon". Z kolei ornamenty słupów są bardzo miękkie i w kolorze stalowo-siwym, przez co przypominają Angkor - Vat, i katedrę w Santiago de Compostela, i kościół św. Jerzego we Lwowie, i inne

szarowłose kobiety o wężowych ramionach. Większość pochylona pod ciężarem splotów winorośli, dokumentnie zaspawana pajęczynami, wglebiona w błoto i koleiny drogi, posiwała od deszczu, wiatru i słońca. Siwa jak dym, który kiedyś leniwy pykał z fajki wiek dziewiętnasty. I to właśnie widzę najczęściej na "pocztówkach" z Bukowiny: leniwy czas, rzeźbiony gąszcz siwych bram, słodkie zapomnienie sądów za tymi bramami, i spokój, sennie dyndające winorośla. Jasne, że nie ma tego na takich kupnych pocztówkach dla turystów. Za to jest na "pocztówkach" spod powiek opadających pod ciężarem dalekiej wyprawy. Podróży do wnętrza czasu, do pępka świata, do kraju marzeń, do Bukowiny.

Oczywiście koloryzują, używając dość dużej ilości stalowo-siwej farбки, pomarańczę dojrzałych dyń, przymglonego fioleto porannych winogron, czerni kapeluszniczego filcu i cygańskich spojrzeń, wreszcie dziewiętnastowiecznej sepii. Wiem. Ale w końcu czego oczekujemy od dobrych pocztówek?



**POCZTÓWKI
ZZZZZZ
BUKOWINY**

Ekspluzja ...sensacji



Co się kryło za WC!?

W jednym z trójmiejskich szaletów funkcjonariusze UOP wykryli nielegalny kościół. Mieścił się on na zapleczu szaletu publicznego w kamienicy należącej do komuny byłych rewolucjonistów, dla których cały interes był jednym źródłem utrzymania. Żyli z tego, co wierni przynosili na balangi kultowe. Sam szalet był za free (!), co stało się głównym powodem jego popularności wśród członków lokalnych subkultur, gromadzących się latem i zimą na stricie przed lokalem. Każdego wchodzącego do toalety atakowały ze ścian i drzwi manifesty i ewangelie typu: Ludzie Są Dobrze; zrób to sam!; my chorzy na autyzm protestujemy przeciwko organizacji świata w ogóle i nawet tego nie przyjmujemy do wiadomości (-) rewolucyjne komórki pacjentów; obzydzenie; olej deskę*; PIWO itp., a nawet nalepki z ostrzeżeniami: UWAGA SETKA! Wtajemniczeni, a mogli nimi być wszyscy odwiedzający po paru piwkach szalet, dowiadawali się, że na zapleczu jest sekta. Sekta oferowała odpowiedź na, powszechną wśród ruchów młodzieżowo - odzieżowych (obejmujących całe posierpniowe pokolenie), chorobę sierocą, dobabiając do siedzenia przy kominku, picia piwa, palenia i tańców przy muzyce wyrafinowaną ideologię, która większości jej wyznawców (jak w każdym innym kościele) nie była znana. Zanim o niej wspomnimy chcielibyśmy wyjaśnić nieporozumienia wokół kwestii bardziej przyziemnej, ale w epoce posierpniowej najważniejszej, idzie oczywiście o finanse. Otóż, jak wspomnieliśmy, szalet był za free, ale uczestnicy sekty powinni płacić składki na lokal i działalność. Niestety, większość działaczy, nie mówiąc już o kibicach, nie płaciła (cierpliwie czekając na periodycznie ogłaszane amnezje składkowe), więc nie było z czego finansować działalność (a za darmo nikt już nic nie robi). Działalności nie było, ale był lokal. Utrzymywano go z opłat za piwo sprzedawane na zapleczu klozetu (na szczęście kasa na to jakoś zawsze się znalazła). Trzeba było za to opłacić syndyka, sąsiadów, policję itp., w su-

mie wychodziło tyle, co za normalną restaurację w centrum, ale było niezależnie**, a lokal był skłotem. Niektórzy zarzucali wprawdzie, że to komercja, bo piwo i wjazd na główne imprezy - msze były płatne, ale przecież kasa nie szła na utrzymanie ekipy żyjącej na skłocie (piętrach kamienicy, w której na parterze był szalet i kościół), a na utrzymanie lokalu i rozwój firmy. Mieszkańcy świątyni, jak wspomnieliśmy, żyli głównie z tego, co przynosili na balangi ich wierni, panował bowiem komunizm składkowy. Byli oczywiście i tacy, którzy zebraли na dworcu lub żyli z zasiłku od kontestowanego rządu, niektórzy uprawiali nawet ogród na zapleczu, głównie zresztą konopie, ale większości już dawno nie chciało się wychodzić ze swego klasztoru, byli bowiem zajęci pisaniem kolejnych traktatów dla sekty. W tym miejscu możemy powrócić do kwestii ideek. Ogólna zasada była prosta i wymagająca: boga nie ma, natura jest ślepa, my -zyskując świadomość- możemy tworzyć celowo, sami więc stajemy się bogiem i prawdą, stwarzając swój świat, piekło i niebo. Życie wieczne polega na tym, że cokolwiek robimy, zrobione pozostaje takim na wieki, nigdy już dana chwila nie będzie inna. Z punktu widzenia czasu była i już jej nie ma, ale z punktu widzenia pozaczasowej wieczności jest i już taka będzie zawsze. Kto czeka na cud, będzie czekał nań zawsze, kto już jest szczęśliwy, będzie i w wieczności, kto czyni zło - też. To jest jedyna kara i nagroda. Jeśli chcesz doświadczać boga wiecznie, musisz nim się stać teraz! Większość chciała się wiecznie bawić, a że balanga ma swoje prawa, musi trwać dalej, więc młodzież wynosiła z domu to i owo (kolega w ramach akcji antyfutrzarskiej wyniósł futerko mamusi, a potem zajmował kasę babci spod bielizny, co ją na trumnę chowała - po co niszczyć matkę boską ziemię cmentarzami, niech się skremuje), inni mieli kieszonkowe od olewanych starych lub stipendium na uczelni (odwiedzali ją w dniu wypłaty), radykalowie zaś zbierali butelki po kolegach na plaży. Media (a więc i całe społeczeństwo) były wobec sytuacji bezradne, sekta nie miała nazwy, podobnie jak subkultura rozwijająca się wokół niej, nie było też -z braku jakiegokolwiek struktury organizacyjnej- formalnych przywódców, a bez tego media nie miały o czym mówić. Nagabywani przez dziennikarzy pod lokalem młodzi ludzie odp-

wiadali, że może kolega wie lepiej, kolega na to, że on tylko wieśta transparent***, a najczęściej grypsowali tak, że nic nie można było zrozumieć. Rokowania były wielkie, ale to wielkie i wszystko byłoby o'k...., jak na Ukrainie, gdzie nic się nie produkuje, 2/3 żyje z handlu towarami z Polski, sprzedając to 1/3, która kupuje to (jako milicja, wojsko, biurokraci itp.) za kasę od rządu z podatków od handlu, tyle że pewnego razu w kłozecie wybuchła bomba. To frakcja hulaśliwych radykałów postanowiła skończyć z organizacją świata w ogóle i zaczęła bawić się niewybuchami. Nie przekonały ich argumenty nieformalnego lidera (który był brany za zawalisty filar skłotu) typu: spoko koleś, no problem, po co ta agresja, koleś? Bombę postanowili wypróbować w klubie, bo mury tu grubsze niż na nowych osiedlach, a i starzy czy policja od sekt i narkotyków, w poszukiwaniu prasy ekologicznej i brunatno - zielonego suszu roślinnego (zgodnie z instrukcjami Radio maRyja), nie przeszukują rzeczy tak dokładnie - tu wszystko śmierdzi! Wybuch zwrócił jednak uwagę sąsiadów, którzy napisali do naszej gazety. Kiedy więc pracownicy działu analiz UOP, czytając nasze doniesienie o eksplozji w ramach działań rutynowych, wykryli całą sprawę, MSWiA przyznało na rozbudowę tej, zasłużonej w walce z przestępczością, formacji połowę przyszłorocznego budżetu policji. Byłoby tego więcej, gdyby nie to, że dom rozebrano, a że był to ostatni dom na tej ulicy i w ten sposób przestała ona istnieć, UOP-owi nie udało się ustalić miejsca lokalu, ani tego, kto brał w tym udział i jak nazywał się ów nieformalny związek. Ojciec Rydzki na wszelki wypadek potępił wszystkich konkubinary. [jawa]

* Napis to ślad po jedynej dyskusji ideowej: czy ofiarne splamienie się podnoszeniem oszczępanej deski klozetowej jest bardziej sektowe od lania na nią jak wszyscy i współodpowiedzialności w uchyleniu się od ofiary. Większość uznała, że trzeba uchylić się od dyskusji na ten drażliwy temat, stąd hasło.

** Tzn., że nikomu na niczym nie zależy.

*** Na zjeździe umiarkowani radykalowie uchwalili, że trzeba coś zrobić, coś konkretnego, coś fizycznego (byle nie bachora czy bomby), ale z braku chętnych zamiast pikety wywieszono transparent: organizacja świata w ogóle stop!, by ukryć pijących na skwerze i ulicy przed lokalem



Dom, prawdopodobnie przy ulicy Słomianej, niedaleko którego na skwerze w maju 1988 powstał pierwszy manifest Międzymiastówki Anarchistycznej. Obecnie pozostał tam tylko Duch mięśca (foto z albumu potencjalnego: Jest sobie Gdańsk).



OD REDAKCJI DO CZYTELNI: jak wspomnieliśmy na wstępie, apelujemy o wpłaty, ponieważ nasze pismo żyje z nich. Inaczej pisanki i obrazki będą musiały pozostać w szufladzie (może to i lepiej?). Jednocześnie informujemy, że pojedyncze numery pisma wysyłamy bezpłatnie (za kopertę z adresem zwrotnym i znaczkami), większe ilości zaś po 15 złotych za każde 100 egzemplarzy (plus pocztą). Ponadto oterujemy „NIERząd” nr 100 (16 str. A4; pismo z kręgu wydawnictw pojedynczych, tym razem w wersji jak na nas masowej), który wysyłamy za kopertę ze znaczkami (po 1,10 - jeden egzemplarz; więcej wazy więcej, więc i koszt przesyłki rośnie zależnie od wazy) oraz zbiór opowiadań Santiago Ebrío „Siedem” (20 str. A5 po 1,60 (koszt ksero) plus pocztą; kasę (mniejszej sumy) śląc najchętniej w znaczkach po 0,50 w kopercie z listem, większe sumy przekazem; prosimy o dokładne podanie zamówienia). Kasę, znaczki i zamówienia można śląc na adres: Janusz Waluszko, Stare Dmki 6/9, Gdańsk 1.



Tabaka chcemë le so zażęc?

Motto:

- Strach Waści?

- Nie!

- Zażyj tabaki!

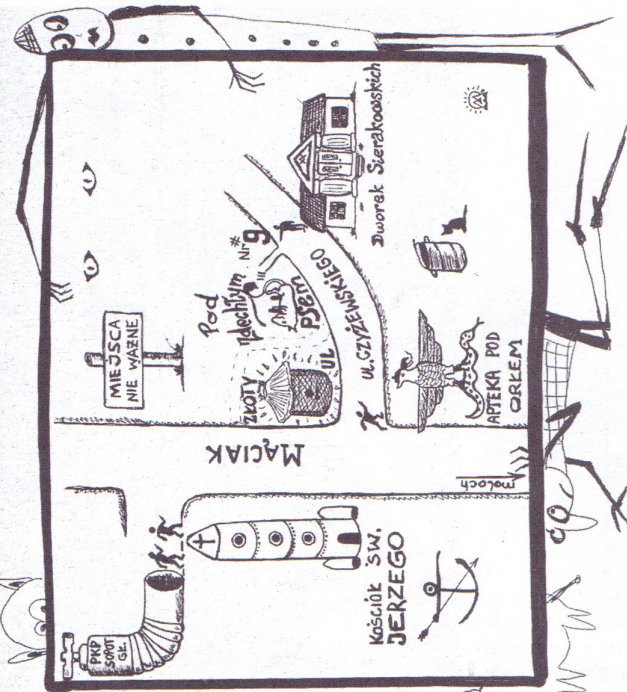
(Moniuszko, *Straszny dwór*)

Nawet jeśli przyszła nam na to ochota, to jest to według obowiązującego prawa nie możliwe. Ustawa antynikotynowa zabrania wyrobu i dystrybucji tabaki; parlament uchwalił to prawo z myślą o obywatelach, tabaką albowiem powoduje raka jamy ustnej (ciekawe, czy ktoś za wyjątkiem kandydatów na lekarzy słyszał o takim rodzaju), ale pewnie też i eholaliję opóźnioną, katar żołądka, schizofrenię hebefreniczną oraz skręt kiszki (jak nie wiecie o

co chodzi, to się zapytajcie nadmienionych kandydatów). Tymczasem w ten sposób odbiera się coś, co stanowi o odrębnej tożsamości lokalnej społeczności, czyli Kaszubów. Ktoś by powiedział: co oni widzą we wciągnięciu do nosa brunatnego proszku, po którym świecą im się oczy i czerwienią nosy? Tymczasem tabaka spełnia tą rolę w społecznościach, którą na dobre utracili papierosy i w dużej części alkohol – otóż tabaka integruje. Tabaczki nie można zażywać samemu – to wydaje się tak sympatyczne jak przepijanie do wazonika ze zwiedłym kwiatem. Od zażywania zaczynają się rozmowy, debaty, przemówienia, małe i duże uroczystości, utyskiwanie na rzeczywistość tudzież spowiedź (ksiądz też dostaje swoje)... Jak już o kościolach mowa, to tutaj na Kaszubach jakość kazania była mierzona szybkością obiegającego po gburach rożka z tabaką, który ksiądz zobowiązany był puszczać w lud na początku homilii (po prostu ksiądz puszczał w swój ludkę rożek; jeśli mówił dobrze, to rożek docierał do niego dopiero po kazaniu, jeśli słabo, to wracał zaraz po wypuszczeniu). Ale wróćmy do tematu: ktoś kiedyś napisał – *tożsamość jest tym, czego jednostka mogłaby się chcieć pozbyć, ale tożsamość jest też tym, czego nikt jej nie może zabrać*. Wydaje mi się, że tak właśnie myśli największa grupa etniczna zażywająca tabaki, czyli rzeźni Kaszubi. Co pomyślał, to i robią. Jakkolwiek można kupić przemycaną tabakę pod ladą, to większość "zażywk" robiona jest w domowych warunkach. Bierzemy suszone latem liście tytoniu, kruszymy je, dodając pieprzu i innych przypraw (np. suszonej mięty). Mielimy to w móżdżerze albo w młynku do kawy – i mamy gotową używkę. Kolesiom z parlamentu trzeba zaś przypomnieć iż "nos nie dla tabakiery, ale tabakiera dla nosa", jak to napisał pewien Litwin; chociaż w zasadzie szkoda trudu... A może nie? Może jutro dbając o nasze zdrowie zabronią nam picia herbaty, jeżdżenia na rowerze czy też chodzenia po lesie? Zresztą i tak nikt normalny nie będzie respektować ich zakazów. Dobra, szkoda nerwów, lepiej zażyjmy tabaki... Chcemë le so zażęc? Doch jo!

Pomierz

PS. Pewnie mało kto już dziś wie skąd pochodzą gesty ☞ oraz ☞. Otóż cesarze rzymscy także lubili sobie przytabaczyć, jeśli ziele było dobre, pokazywali ☞; gdy podtykano im jakąś machorę robili tak ☞, co raczej nie wróżyło częstującemu nie dobrego...



Dzień był ciepły i słoneczny. Dalaj Lama siedział przy swoim biurku. Jego ogolona głowa lekko, w skupieniu, pochylała się nad repertoryjnym zegarkiem. Lubił to robić od dzieciństwa - delikatny uśmiech nie schodził mu z ust.

Nagle szelesty w ogrodzie oderwały go od pracy. Nadstawił ucha, dziwne odgłosy w krzakach były coraz głośniejsze. Wtem trzy zamaskowane postacie, uzbrojone w szybkostrzelne izraelskie UZI, wyskoczyły zza drzewa stojącego tuż przy oknie. Mężczyźni szybko dostali się do budynku.

Dalaj Lama został porwany. Uśmiech nie schodził mu z warg.

Szybko spostrzegł, że porywacze są bardzo dobrze przygotowani. Był przekazywany od jednej grupy do kolejnej sprawnie i bez zbędnych rozmów - zawsze nocą. Wiedział o tym, choć przez cały czas miał naciągnięty na głowę kaptur. Przewożono go daleko, jak sądził. Najpierw helikopterem, łodzią motorową, potem samolotem (też noc) i na koniec samochodem.

Wreszcie zamknięto go w małym pomieszczeniu bez okien, z siennikiem zamiast łóżka. Nadal nie wiedział o co chodzi. Mijała czwarta doba od momentu, gdy oderwano go od pracy nad zegarkiem. Uśmiechał się nadal.

Ku pewnemu zaskoczeniu Lamy nie zamierzano dłużej ukrywać celu porwania. Dalaj Lama został uprowadzony przez ostatnią i jedyną, działającą potajemnie, jednostkę hiszpańskiej inkwizycji. Kościół utrzymywał jej istnienie w tajemnicy od połowy XIX wieku, kiedy to Sanctum Officium zostało oficjalnie rozwiązane. Oddział zwany Canis Belli, czyli Psy Wojny, ukrywany w podziemiach Watykanu, wykorzystywany był tylko do zadań specjalnych. Ich ulubione zawołania to: WINO, CHLEB I ROCK'N'ROLL!, CHRISTUS REX - PAPA IS THE BEST!, a także: MATKA JEST TYLKO JEDNA! Członkowie byli klonami skrzyżowania Schwarzenegera z Myszą co Popielea Zjadła.

Uprowadzenie Lamy było największą operacją od czasu, gdy wywołali trzęsienie ziemi w Armenii (by spełnić przepowiednię o kłęsce niewiernych). Tym razem chodziło o wymuszenie na Dalaj Lamie zeznania, że jego wiara jest wiarą ateistyczną. Torturowano go.

Inkwizycja tylko z nazwy była hiszpańska. W pokoju „badań” pokazywały się najróżniejsze osoby wielu nacji, wśród nich osobisty przyboczny papieża, Polak, ksiądz „Dziwisz”. Ten straszliwy przydomek wziął się stąd, że gdy przez zmaltretowane ciała swoich ofiar przepuszczał prąd elektryczny, a ich oczy wylażyły w bólu z oczodołów, śmiał się i wołał: „I co się tak, kurwa, dziwisz?!”. On był najgorszy - dobrze przygotowany.

Zręby wiedzy uzyskał od ojca, który trenował na politycznych z rządów sanacji. Dalej kształcił się u Obersturmu... coś tam, coś tam oficera SS w Generalnej Guberni, a gdy przyszli Sowieci - u człowieka z NKWD, P. Kazamatowicza. Potem bierutowe Wronki i... gomulowska odwilż. Myślał, że będzie bezużyteczny, a tymczasem zupełnie przypadkowo załapał się na etacik u tzw. „opozycji”. Dzięki swoim umiejętnościom awansował szybko. Został śledczym w inkwizycji. Teraz przysługiwał mu tytuł Magnisimus. „Dziwisz” jest jedną z najczarniejszych postaci podziemi Watykanu.

Dalaj Lama, w tych nielicznych chwilach spokoju, które mu pozostawiono, zastanawiał się, czemu ci Polacy - zawsze dobrze przygotowani i sprawni - nie przypominają swoich roztrzępanych i chaotycznych braci Słowian. Czytał kiedyś książkę o jednym z polskich opozycjonistów - nazywał się jakoś... Turoń, czy coś takiego. Ten był też dobrze przygotowany! Zawsze. Nosił ze sobą nawet termos z silnie znieczulającą słowiańską używką, niewiadomo: by fraternizować się z oprawcami czy aby unieważnić się na uroki przesłuchania? Nieważne - był przygotowany.

On, Dalaj Lama, nie był. Z tego powodu przestał się nawet uśmiechać. Nie chodziło o bicie, z fizycznego bólu nic sobie nie robił - w młodości czytał dużo Karola Maya. Nie był przygotowany, bo nie wziął szczoteczki do zębów! Trzymano go już długo i czuł, że ma w ustach nieprzyjemny zapach. I przyznałby się już nawet do tego ateizmu, obawiał się tylko, że gdy otworzy usta, to brzydki zapachem urazi swych oprawców. A zła karma przecież wraca. Nie mógł sobie na to pozwolić!

Człowiek ze Wzgórza Czarnego Królika, 21.05.98r.

zaprasza na ucztę wizualną, w tem:

Sopot, ul. Czyżewskiego 9

tel. 550-41-95

Czynne

od 11:00

do oporu!

malarstwo
lalkarstwo
grafika
rzeźba
i inne atrakcje



ZDECHŁYM PSEM

im. Jerzego
Pofomskiego